

31

III.1.1976.213

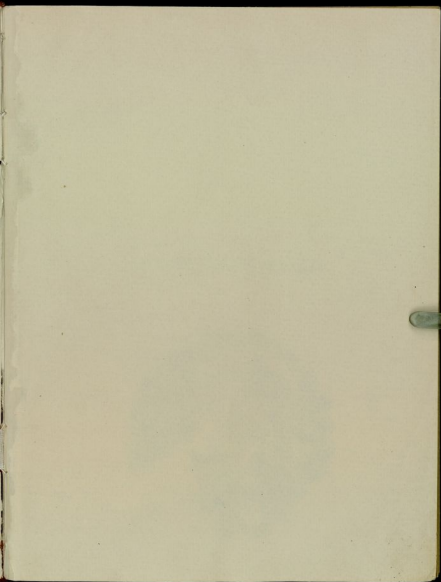
L. Rydel,

# MADEJOWE ŁOZE



Nakładem D. E. Friedleina w Krakowie







MADEJOWE ŁOŻE.





# MADEJOWE ŁOŻE

STARA KLECHDA

DLA

MŁODYCH CZYTELNIKÓW

W XX PIEŚNIACH.



NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE.  
WARSZAWA — E. WENDE i Ska.

1909.

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001008556873



III 1.476.213



DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE (UL. MIKOŁAJSKA 13)  
POD ZARZĄDEM A. SEJZEWSKIEGO.

1995 K1335/80



Kochanemu Bratu

Staszewi

na Boże Narodzenie r. 1908

Lucyan Rydel



## WSTEP.



iałem niegdyś starą nianię,  
Nizka była, zwiędła, siwa;  
Zimą, gdy wieczór nastanie  
A dzieciom tak nudno bywa,  
Że się aż zbiera na spanie,

Prawiła nam długie baśnie  
Bliniusia nasza pocziwa.

Pamiętam, jakby dziś właśnie,  
Każde jej opowiadanie:  
Mówi cicho, głową kiwa,  
Czasem iskra jakaś żywa  
W starych oczach jej zaświeci,  
Czasem w pół słowa urywa,  
Rękę do góry podniesie  
I dziwnie patrzy na dzieci,  
A nam śmiać i płakać chce się.

Mówi długo, mówi śpiewnie  
O dwunastu zbójcach w lesie,  
Lub o zaklętej królewnie,  
O Twardowskim, o Borucie,  
Co był dyabłem i szlachcicem,  
A miał końską nogę w bucie;  
Lub o pijanym złodzieju,  
Co pokłócił się z księżycem;

O sierocie, co uciekła  
Od macochy, o Madeju  
I chłopcu, który do piekła  
Po cyrograf zstąpić musi.

Dzisiaj klechdę Madejową,  
Jakem słyszał od Bliniusi,  
Opowiem wam słowo w słowo.  
Dawnych czasów baśń jest echem  
Bywa piękna, bywa mądra,  
Ale z baśnią jak z orzechem:  
Dobrać trzeba się do jądra!



ROZDZIAŁ I.

W KRZYSZTOFORACH.





a samym rynku w Krakowie  
Stoi dom ogromny, stary  
I od wiek wieków się zowie  
Dawnem mianem: Krzysztofory.  
Pod nim piwniczne pieczary

Ciągną się na milę pono.  
Mówią ludzie do tej pory,  
Że złe w onych lochach straszy,  
A dawniej nawet mówiono,  
Że tam złota całe wory,  
Że pereł tam jest, jak kaszy,  
Że w sąsiekach tam jak grochu  
Pełno najdroższych klejnotów.  
Ktoby na wszystko był gotów,  
Zszedłszy z latarką do lochu  
Może przed samą północą  
Nabrać tych skarbów potrochu.  
Ale gdy zegar wybije,  
Coś wrzaśnie: „Po co tu? Po co?”  
Coś syczy, świszczcze jak żmije  
I okropna jakaś głowa  
Niby sowa, a nie sowa,  
Przeraźliwe swoje ślepiea  
Z ciemności w człowieka wlepia.  
Wtedy na pomoc brać Boga  
I zmykać trzeba co żywo.

— Podobno sługa uboga,  
Posłana w nocy po piwo  
Złota wzięła do zapaski.  
Północ bije, a nieboga  
Styszy w koło jęki, wrzaski...  
Ledwie, że dopadła proga  
I razem ze swoim złotem  
Ujść zdołała z boskiej łaski,  
Krzyknawszy Jezusa Imię.  
Ale tuż za nią, z łoskotem,  
Straszną mocą zatrzaśnięte,  
Zawarły się drzwi olbrzymie  
Tak, iż jej odcięły piętę.  
Chorowała długo potem,  
A dyabelskim owem złotem  
Obdarowała sownie  
Biednych, kościoły, klasztory,  
Zaczem w zakonnym habicie,  
Pełna skruchy i pokory  
Zamknęła pokutne życie.

Kiedy tam i w jakim celu  
Złożył czart swych skarbów zbiory  
O tem różnie lud powiada.  
Przed laty wielu a wielu  
Zbudować miał Krzysztofor  
Krzysztofor, bogacz nielada,  
Kupiec, krakowski mieszczanin,  
Człek możny z dziada pradziada.  
Sukna, hatłaszy, wisiory,  
Sztuki złotogłowych tkanin,  
Telet i srebrnoglów lity,  
Adamaszek różnowzory,  
Jedwabie i aksamity  
W Sukiennicach miał na składzie.  
Choć bogacz, był pracowity,  
Płacił na czas, mierzył wiernie,  
Żył z Bogiem i ludźmi w ładzie,



Więc na całą konfraternię  
Kupiecką wielce go czczono  
I konsulem w miejskiej radzie  
Był kolejno przez lat wiele.

Z panią Gretą, młodą żoną,  
Pan Krzysztofor co niedzielę  
Kroczył rynkiem pełen dumy,  
Strojnje, godnie, okazałe,  
Aby w Maryackim kościele  
Wysłuchać pobożnie summy.  
Gdy wchodzili zająć stalle  
Rozstępowały się tłumy.  
Na procesyi w Boże Ciało  
Ku tem większej Boskiej chwale  
Stąpił tuż przy baldachimie  
Odziany szatą wspaniałą,  
W słońcu i w kadziel dymie  
Z pełnem powagi obliczem  
I z wielką świecą woskową.

Jednak nie cieszył się niczem,  
Bo i komuż zacne imię  
I komu rajectwo owo,  
Komu ludzkie poważanie,  
Komu fortuna kupiecka  
Kiedyś po nim się dostanie,  
Gdy mu Pan Bóg nie dał dziecka.

Greta niby to wesola,  
Lecz się gryzła pokryjomu  
I codziennie do dnia prawie  
Do Maryackiego kościoła  
Szła nie mówiąc nic nikomu.  
Gdzie krucyfiks w bocznej nawie  
Czernieje wielki na srebrze —

Tam ukląkszy pokryjomu,  
Modli się w tym ciężkim smutku  
I o pocieszenie żebze  
Popłakując po cichutku.



ROZDZIAŁ II.

PRZYGODA W PODRÓŻY.





ieczorna była godzina,  
Deszcz padał. Droga rozmokła,  
Która wiedzie od Lublina  
Na Brześć — pięć wozów się wlokło:  
Przy każdym koni trzy pary

Woźnica i dwaj pacholcy.  
Na wozach skrzynie, toboły,  
Z drogocennymi towary.  
Na jesienny jarmark jedzie  
Pan Krzysztofor aż do Wilna.  
On sam w kolasce na przedzie  
Szubką się przed zimnem chroni  
A chociaż droga mu pilna,  
Żał mu ludzi, żał mu koni  
Na tym deszczu, na tym chłodzie,  
Radby o tak późnym czasie  
Po całodziennym pochodzie,  
Stanąć już gdzie na popasie.  
Lecz ani słychu ni dychu  
Nigdzie o żadnej gospodzie,  
Deszcz jeno szemrze po cichu.  
Biedne szkapę po pęciny  
Brną ciągle w błocie i wodzie...  
I tak mijają godziny.

Nagle wśród nocy, w oddali  
Światło jakieś zamigota:

Pewnie tam gdzieś na kominie  
W karczmie ognisko się pali  
I w ciemnościach blask ten miota.  
— O takiej późnej godzinie  
Gdzież tu jeszcze jechać dalej?  
Gdzież w nocy szukać schroniska?  
Więc z bitej drogi zjechali  
I jadą, gdzie światło błyska.

Jadą, jadą, a w pomroce  
Światło ku nim cicho mruga:  
Raz gaśnie, to znów migocze...  
Droga zda się dziwnie długa,  
Jakoś nie jej nie ubywa,  
A ta światłość, jakby żywa,  
Zda się przed nimi ucieka  
I znowu na miejscu stoi  
Błyszcząc ku nim z niedaleka;  
Dojadą już lada chwilka...  
Wtem światelko się rozdzieli  
I skrzy się jak ślepie wilka...  
Zgasło i zostali sami.  
Więc ich strach okrutny bierze:  
Widno czart ich w nocy mami.  
Zaczęli szeptać pacierze  
I pozad nawrócić pragną,  
Lecz konie razem z wozami  
Coraz gorzej w jakieś bagno  
Grzęzną aż po same brzuchy.

Pozapalali łuczywa,  
Świecą: nigdzie ziemi suchej,  
Naokół oparzeliska  
A mgła ponad nimi pływa,  
Więc konie ciągną u pyska,  
Wozy dźwigają za koła...  
— „Wio! Wio!” Lecz biedne koniska  
Coraz głębiej w bagnie toną.

Krzysztofor zachęca, woła,  
Podkasał szubkę czerwoną  
I z kolaski swej wysiada.  
Brnie do wozów przez moczary,  
Sam dzielnie ramion dokłada,  
Pcha i dźwiga nie na żarty  
By ratować swe towary.  
Wszystko na nie! Trudna rada!  
Krzysztofor w szubce podartej,  
Zabłocony, przemoczony,  
Zaczął kłać w tysięczne czarty.

Wtem, u wozów z lewej strony  
Coś piskliwie zachichota  
I dziwna jakaś istota  
Niewiadomo skąd się jawi.  
Wzrostu łokieć, łeb jak bania,  
W oczach krwawy błysk migota.  
Na pół trwoźni, pół ciekawi,  
Mimo chęci do zmykania  
Patrzą ludzie Krzysztofora  
I Krzysztofor patrzy z trwogą,  
Co też pocznie ta potwora?

A to lichy do nikogo  
Ani słówka nie zagadnie,  
Jeno wozy z bagna dźwiga,  
Wyszczerając się szkaradnie.  
Moc u niego jak u smoka,  
Choć to taka mała figa:  
Podniósł wozy w mgnieniu oka,  
Z błota powyciągał konie,  
Parsknął, skręcił się jak fryga...  
Wsiadli — on zaś klasnął w dłonie,  
Szkapę ruszyły z kopyta...  
— A straszdyło nic nie pyta,  
Jeno z błota jednym susem  
Ślada przy kupcu w kolasie.

Krzysztofora bojaźń chwyta,  
Co począć z dziwadłem kusem?  
Jak i czem odprawić da się  
Poczwara niesamowita?!









ROZDZIAŁ III.

MALY WITEK.





inęło wiele miesięcy  
Od onej dziwnej przygody.  
Krzysztofor wiele tysięcy  
Wiózł, wracając do Krakowa  
Zdrowo i bez żadnej szkody.

A pani Krzysztoforowa,  
Nieco blada, jakby chora,  
Z uśmiechem wita go w progu,  
Serdecznie za szyję ściska  
I prowadzi Krzysztofora  
Szepcząc mu: „Podziękuj Bogu!”

W alkwie stała kołyska,  
W niej prześliczny, biały, duży  
Dzieciak jako malowanie  
Z buzią niby kwiatek róży.  
Przybiegł ojciec, patrzy z blizka  
— Lecz nagle jak martwy stanie,  
W obie dłonie głowę ściska  
I pierś mu rozdziera łkanie.  
Potem ostrożnie się zbliża  
I synka bierze na rękę  
I świętem znamięm krzyża  
Czołko namaszcza dziecięcę,  
Tuli go długo i szepce:  
— „Biedna ty moja dziecićno,

Ja wiem, co z tobą się stanie!<sup>a</sup>  
Składa dzieciątko w kolebce,  
A łzy po twarzy mu płyną...

Widząc takie przywitanie,  
Oniemiała pani Greta  
I dreszcz przeszedł jej przez kości.  
Nie mogła biedna kobieta  
Pojąć, co to wszystko znaczy:  
Zamiast ojcowskiej miłości,  
Tyle żalu i rozpaczy.  
Przerażona, zapłakana  
Nadaremnie męża pyta;  
Westchnął i milczy jak ściana,  
W końcu rzekł: „Nie, nie... i kwita!”<sup>a</sup>

Chłopaczek nazajutrz rano  
Dostał na chrzcie imię Wita  
U Panny Maryi w kościele,  
W domu Witkiem gowołano;  
Rodzicom rósł na pożytek,  
Zdrów na duszy i na ciele.  
Z twarzą białą i rumianą,  
Z czupryną niby konopie  
Zmieniał się powoli Witek  
Z małego dziecka na chłopię.  
Matka chłopcu była rada  
Chłubiła się jedynakiem;  
Ojciec wprost za nim przepada,  
Ściska, głaska go i pieści,  
A wśród pieszczot krzyża znakiem  
Przeżegna chłopca nieznacznie  
I głowę zwiesi w boleści  
I po cichu płakać zaczyna.  
Greta z dawna już rozumie,  
Że go źre zgryzota skryta;  
Raz go zasza, gdy w zadumie  
Z żalem pozierał na Wita.

Więc do Krzysztofora rzecze:

— „Czym nie twoja? Czym ci obca?

Przec nie ufasz mi człowiecze?

Powiedźże mi raz przyczynę,

Że drżysz o naszego chłopca?”

A Krzysztofor odpowiada:

— „Żono, ja z frasunku ginę,

Bo nam wszystkim trojgu biada!”

Zaczem rozpoviedział żonie

O przygodzie onej w drodze,

Jak mu w Pińskich błotach konie

I wozy uwięzły srodze,

Jak zaklął, jak niespodzianie

Bies mu zjawił się z pomocą,

I kończył opowiadanie:

— „Straszno było jechać nocą,

Gdy czart ze mną był w kolasce.

Drżę, a czekam co się stanie,

Bo byłem na jego łasce,

A ten mi mamroce w ucho:

— „Przyszedłem na twe wołanie,

Z bagnam wyrwał was na sucho,

Cóż mi za to? Cóż mi za to?!”

— „Czegóż — pytam — żądasz biesie?”

— „To będzie moją zapłatą,

Co ci dola twa przyniesie,

O czem nie wiesz, że masz doma.”

— „Skoro to rzecz niewiadoma,

Bierz ją dyable!” — „Zgoda, biore!”

Klasnął z radości rękoma

A sinawy płomień siarki

W ślepiach mu iskrzących gore,

Że świeciły jak latarki;

Spojrzałem, trzymał już w łapie

Cyrograf na pergaminie

Spisany. W mig mnie zadrapie

Szponem w palec, aż krew płynie.

I nagle pióro puha  
W krwi, która mi z palca kapie,  
Do podpisu mi zamacza.  
Podpisałem, i czart ginie...  
A wiesz ty, że to oznacza  
Zatrąę naszej dziecinie?!





ROZDZIAŁ IV.

KRUCYFIX MARYACKI.





kościół już pusto prawie,  
Na ołtarzach światła gasną,  
Jeszcze tylko w bocznej nawie  
Świece kilka jarzy się jasno  
I kwiatów biją zapachy,

Gdzie Chrystus na krzyżu kona,  
W ołtarzu ze srebrnej blachy  
Rozpiąwszy czarne ramiona.  
A w modlitwie na uboczu  
Kłęczą przed Nim ludzie dwoje;  
Łzy im rzewne płyną z oczu,  
Serca modłów żarem płoną:  
Smutki, żale, niepokoje  
Krzysztofor ze swoją żoną  
Panu Bogu kornie składa.

Nagle przy sobie ujrzeni  
Postać sędziwego dziada:  
Ciemna szata po kolana,  
Broda mu się srebrem bieli,  
Twarz zmarszczkami poorana,  
A w oczach takie spojrzenie,  
Jakie miewają anieli.  
Staruszek mówił powoli;  
— „U Boga w wielkiej są cenie  
Łzy wasze. Wiem, co was boli,  
Przeto zróbcie jak wam radzę.

Nad grzesznymi czart ma władzę,  
Lecz wasze niewinne dziecię  
Nie popadnie w moc szatańską,  
Więc niezwłocznie go wysłecie,  
Niech idzie, z pomocą Pańską  
Po cyrograf na dno piekła!"  
Zniknął starzec. — W pani Grecie  
Serce biło jako młotem —  
„Słyszałeś?"... mężowi rzekła.  
On oblany zimnym potem  
Słowa nie mógł rzec w podziwie...  
W domu jeszcze za powrotem  
Wciąż modlili się żarliwie.  
Zawołali wreszcie syna,  
Ojciec rozwiódł się szeroko  
I wszystko rzekł co do joty.  
Przelał się zrazu chłopczyzna,  
Lecz wnet śmiało podniósł oko  
I mówi, pełen ochoty:  
— „Każecie rodzice mili,  
To pójdę choćby w tej chwili.  
Mam na szyi krzyżyk złoty,  
Nie bójcie się mamo, tato!"  
Ojciec uściskał go za to,  
Matka do piersi go tuli  
I choć oboje się trwożą,  
Nadzieję w sercach poczuli,  
Że Wittek z pomocą Bożą  
Piekło całe przewycięży.

Ojciec z Witkiem już od rana  
Poszedł rozpytywać księży,  
Jak znaleźć do piekła drogę  
— „Przez grzech, to jedyna znana"  
Księża mu odpowiedzieli.  
— A bez grzechu zajść nie mogę?"  
Wit księdza starszuszka pyta.  
— „Tę znają tylko Anieli,

Dla nas ta droga zakryta,  
Chyba swej łaski udzieli  
I oną drogę pokaże  
Sam wszechmocny Bóg na niebie,  
Jeśli kto w świętym zamiarze  
Chce iść i w ciężkiej potrzebie\*  
— „To już ja do piekła trafię“  
Zawołał żwawo chłopczyna  
I księdzu prawie poczyna  
Historję o cyrografie.  
Ksiądz na to: „Ja nie znam drogi,  
Lecz poradę ci w tej biedzie:  
Idź wprost, gdzie poniosą nogi  
A Bóg cię jakoś zawiedzie“.

Jał mówić nad nim pacierze,  
Dał mu relikwie, różańce  
I święconej wody w bańce,  
Sznur zakonny i szkaplerze.

Z domu skrzypeczki ze smykiem  
Witek z sobą w podróż bierze,  
Aby przygrywać po drodze.  
Tłomoczek ściągnął rzemymkiem,  
A matka, płacząca srodze,  
Jadło wiązała w tobołku.  
— „Nie płaczcie, ojeze i mamo,  
Nie na zawsze ja odchodzę!“  
— „Wróć nam z Bogiem nasz aniołku!“  
I płakali na myśl samą,  
Co się może stać chłopczynie...

Za miastem, pod Wiślną Bramą  
Stoją smutnie ojciec, matka;  
Wit im z oczu w dali ginie,  
Oni patrzą do ostatka.





ROZDZIAŁ V.

CHATA W LESIE.







Idzie już Witek ze trzy dni,  
Idzie przez wsi, las i pole,  
U chłopów sypia w stodole,  
Wstaje, gdy się dzień rozwidni,  
Kładzie się z wieczorną zorzą

I znów idzie przez dzień cały.  
Czasem chłopci go podwożą,  
Czasem w deszcze lub upały  
Idzie a idzie piechotą.  
Skrzypceczki mu się przydały:  
Co chwila na nich przygrywa,  
A rusza dalej z ochotą.  
Przeszedł świata kawał spory  
I drogi mu wciąż łąbywa.

Wreszcie wszedł w okrutne bory.  
Tam wśród wilgotnej pomroki,  
Korzenie, jako potwory,  
W kłęb się wiją poplątany;  
Czarne sosny sklep wysoki  
Dźwigają niby kolumny;  
Po konarach, jak w organy  
Gra i huczy wichur szumny.  
Czasem słońca promyk wązki  
Padnie na liście paproci,

Na malinę u gałązki,  
Lub wodę w źródle oźdoci...

A Witek idzie wesoły,  
Po drodze poziomek szuka;  
Posłyszał: w borze coś puka —  
To w drzewo kuja dziecięcy.  
Idzie, jak nie gra to śpiewa.  
Stał, patrzy, jak wiewiórka  
Pędzi na wierzchołek drzewa  
I w gęstwinie daje nurka.  
Dalej znowu idąc borem  
Widział jak się pasły sarny  
Pośród zielonej polany.

Ale, gdy późnym wieczorem  
Bór straszny się stał i czarny,  
Witek zgłodniały, znękany,  
Wtulił się pomiędzy chrósty  
Bo poczuł, że go lęk bierze.  
Napróżno zbladłymi usty  
Próbował szeptać pacierze:  
Bał się ciemnej nocy w lesie.  
A nuż dzikie przyjdzie zwierzę!  
I o piekło i o biesie  
Przypomniał sobie z obawą.

Wtem ognia światło czerwone  
Poprzez pnie się doń przekrada.  
Na nogi zerwał się żwawo  
I szedł ciągle w ognia stronę.  
Ujrzał chałupę zapadłą.  
Z okienka świetlaną smugą  
W bór płynęła jasność złota...  
Począł biedz i niezadługo  
Zapukał w spróchniałe wrota.

— „Kto się tam po nocy burzy?“  
Pyta głos jakiś chropawy  
I słycać miauczenie kota.  
— „Wędrowiec prosi w podróży  
O nocleg i łyżkę strawy.“  
Odrzekł Witek drżącym głosem.  
Drzwi otwały się i w progu  
Stała wychudła baba  
Z obwisłym ku brodzie nosem.  
Wspierała się na ożogu  
Pokurczona, chwiejna, słaba  
I patrzyła nań ukosem.  
— „Wnijdz!“ Wpuściła go starucha.  
— „Niechaj będzie pochwalony!“...  
Baba nie rzekła: „na wieki!“  
Jakby zgoła była głucha.  
W końcu pyta; „Skąd w te strony  
I gdzie idziesz?“ — „W świat daleki,  
Do piekła!“ — „Patrzcie mi zucha!  
Do piekła?! To kawał drogi!“  
I stara w uśmiechu szczerzy  
Zęby czarne: — „Są pierogi,  
Naści! siednij do wieczery!“  
Witek za stół, pod okienko  
Siadł jeść. Baba u komina  
Skulona, wzrokiem go mierzy,  
Brodę sobie wsparła ręką  
I tak po chwili zaczyna:  
— „Hej, dobryś widno chłopeczyna,  
Jedz, a zmykaj cichusieńko,  
Bo, gdybyś wiedział, u kogo  
Wypadła tobie gościna,  
Milsza by ci była knieja  
I niedźwiedź z paszczką srogą!“  
— „Cóż mi się tutaj stać może?“  
— „Jesteś u zbójcy Madeja,  
Co nie oszczędza nikogo,  
Zjedz i uciekaj nieboże!“

Poblądł Witka a tymczasem  
Stapanie słychać na dworze,  
Ktoś do drzwi tłucze z hałasem.  
— „To ja! Otwieraj, do licha!!“  
Stara jeszcze w samą porę  
Witka za przypiecek wpycha  
I odsuwa w drzwiach zaporę.



ROZDZIAŁ VI.

MADEJ.





JK







apiąc, mrużąc, wszedł do chaty  
Chłop ogromny do powały;  
Była broda, łeb kudłaty,  
Oczy dziko mu latały  
Jak u drapieżnego zwierza.

W garści drąg ścisnął sękaty, —  
Wór ciężko wyładowany,  
Na którym krew była świeża,  
Zdjął z siebie i podle ściany  
Postawił u drzwi alkierza.  
— „Jeść dawaj!” krzyknął do jędzy  
I zły, pięścią w stół uderza.  
Stara wielce zastrachana  
Zakrzętała się czempredzej  
I w mig stanęła wieczera.  
On tymczasem wodą z dzbana  
Spłuknął sobie ręce krwawe,  
Klnąc pod wąsem, siadł na ławę  
I kukielki, kaszę, mięso  
Zmiałat iście po zbójceku.  
Witkiem dreszcze zimne trzęsą,  
Choć był na ciepłym przyplecku,  
I serce jak w ptaszku bije.  
Patrzy: Madej przegiał szyję,  
Przytknął głowę do gąsiora  
I rumiane wino pije,  
Duszką sobie gardło płucze,

Wstał, podszedł, gdzie beczka spora  
Stała w kącie, wyjął klucze  
Z zanadrsa, odsunął beczkę...  
Pod nią w ziemi była nora.  
Madej otwarł do niej wrota,  
Baba zapaloną świeczkę  
Trzymała, on zasię z wora  
Kupę klejnotów i złota  
Jął suć do onego lochu:  
Pereł tam było jak kaszy  
Drogich kamieni jak grochu!

— „Ho! Ho! Moc już w jamie naszej  
Onego krwawego żniwa!“  
Śmiała mu się twarz straszliwa,  
Gdy wrota lochu zamyka.  
Wtem stanął tknięty do żywa;  
W groźnych oczach rozbójnika  
Złość rozjątrzyła się dzika:  
Dostrzegł Witka na przypiecku.  
— „Masz tu za piecem człowieka!“  
Ryknął i chłopca wywleka,  
Ciągnąc go z kąta za włosy  
— „Daruj życie temu dziecku!“  
Krzyczy baba w niebogłosy.

Prędzejby kto zmięczył skały  
Niżli serce Madejowe,  
Jął za pasem szukać noża.  
Pod Witkiem kolana drżały,  
Z przerażenia stracił mowę,  
Jęknął wreszcie: „Matko Boża!“...  
A Madej: „Nie nie pomoże!  
Cóż tu miałeś do roboty?  
Skarbów podpatrujesz w norze?!“  
— „Mój panie zbójco, mój złoty“ —  
Rzekł Wit przytomniej potrosze  
„Co mi tam skarby, klejnoty!

Nie zabijajcie mnie, proszę!  
Noc mnie zapadła w podróży,  
Tu się schroniłem po drodze  
Na tę noc jedną nie dłużej,  
Jutro ze świtem odchodzę.\*  
— „Nie, już nie wyjdiesz stąd żywy!  
Znasz skarbow móich ukrycie!“  
Wrzeszczał zbój, szarpiąc go srodze  
I nóż podnosił straszliwy.  
— „Madeju, daruj mu życie!  
Puść! on wędruje do piekła!“  
Ledwie to stara wyrzekła,  
Madej z rąk wypuścił Wita;  
Zniknęła srogość zaciekle  
Na twarzy jego wyrzyta  
I śmiech szalony go bierze.  
— „Do piekła?! Cha! Cha! Ty szkrabie!  
Ja w żadne piekło nie wierzę!  
Co się przyśniło tej babie?  
Do piekła?! Głupia starucha!“  
I znowu śmiechem wybucha.  
— „Do piekła!? Cha! Cha!“ I z gęby  
Szczery od ucha do ucha  
Białe jak u wilka zęby  
I ryżem brodziskiem trzęsie...  
Aż się pokładał na ławie  
A śmiech długim brzmiał chichotem.  
— „Tak, do piekła dostać chcę się,  
Wędruję tam w ważnej sprawie.“

— Madej spojrzał nań a potem  
W nowym szyderstwa wybuchu:  
— „Idź — rzekł — puszczam cię dzieciuchu, —  
Idź do piekła, lecz z powrotem,  
Gdy załatwisz swoje sprawy,  
Wstąp i powiedz, co za kara  
Na drugim świecie mnie czeka,  
Bom tego bardzo ciekawy!“

I znów śmiał się co niemiara.  
Lecz Wit bez żartów przyrzeka,  
Że dowiedzieć się postara,  
Jaka tam dlań w piekle kara  
I z powrotem mu doniesie.

Umościła legło stara  
I Wit spał u zbrojcy w lesie.



ROZDZIAŁ VII.

BRAMA PIEKIELNA.





it spał do późnego rana.  
Gdy się zerwał z legowiska,  
Na stole stała już miska,  
W niej ciepła kasza jaglana.  
Umył się, padł na kolana,

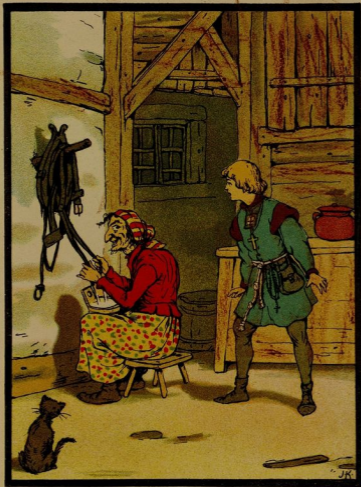
Zmówił pobożnie pacierze;  
Baba woła do śniadania  
I poczęła gadać z Witem,  
Gdy chłopak za łyżkę bierze:  
— „Mądej po lasach ugania,  
Wyszedł już z domu przed świtem.  
Hej! co on ludzi narzeże,  
Co mienia nazgarnia przytem!  
Codzień odprawia te łowy!...  
Chcesz pié? Będzie mleko świeże,  
Choć nie mamy tutaj krowy  
I dokoła wszędzie puszcza”.  
To rzekłszy, rażno się krząta,  
Witek z oczu jej nie spuszcza:  
Ze skopcem poszła do kąta,  
Usiadła na niskim stołku,  
Chwyta rzemień od chomąta,  
Co tam wisiało na kołku,  
I coś pomrukując, doi  
Mleko z onego rzemienia.  
— „Czarownica!” myśli chłopiec

I jak skamieniały stoi  
Ze zgrozy i ze zdumienia.  
A gdy się napełnił skopiec,  
Wiedźma, częstując go, powie:  
— „Pij, toć wyjdzie na pożytek,  
Bo mleko po dobrej krowie.  
Nie bój się, bo ten napitek  
To sama siła i zdrowie.  
A pijże chłopcze, dopóki  
Cieplutkie!“ — Lecz mądry Witek  
Pięknie dziękował za mleko  
I rzekł, zawiązując juki:  
Trza iść, mam drogę daleką.

— „Umiem ci ja różne sztuki —  
Odrzekła mu baba na to  
— I na wszystko mam sposoby:  
Do bram piekła ze trzy doby  
Musisz iść, lecz nad łopata  
Jeśli odmówię zaklęcie,  
To siedziem na nią okrakiem  
I zanieś nas w momencie“.  
Dreptać jęła przed chłopakiem:  
— „Hej, hej, przez komin, tą dziurą  
Wyjedzie z nami łopata  
I polecą nikiel pióro  
Choćby na sam koniec świata.  
A jak dobrze się rozhasa,  
To w mig pędzi górą, górą  
Śmigać będziemy jak z procy  
Hop! Hopsasa! Hop! Hopsasa!...  
Ale trzeba czekać nocy  
Hej! Bo w słonecznej godzinie  
To zaklęcie nie ma mocy!“

Straszno się stało chłopczynie  
I uciekł bez pożegnania.  
Wciąż biegł w górę — a to nuży.





LIBRARY  
BN  
MAGDOVA

Mrok padał w leśnej gęstwinie,  
Lecz przed nim bór się rozstania  
Po całodziennej podróży,  
I przez drzewa czarne świta  
Wieczorna zorza różana.  
Bór się skończył. Oczom Wita  
Szeroka górską polana  
Ukazała się niebawem  
Blaskiem zachodu oblana.  
Ponad nią na niebie krwawem  
Poszczerbiona skalna ściana  
Wierchami pnie się w błękity;  
A tam, jeszcze głębiej za nią  
Wyższe wyzierają szczyty  
I płoną w słonecznej dali...  
Gdzieś nad przepastną otchłanią  
Śnieg bieleje srebrnolity,  
Gdzieniedzie cień barwą stali  
Na turnie kładzie się stoki;  
Tam nad urwistą szczeliną  
Mgła zawisała białą smugą...  
— Wreszcie mrok zapadł głęboki  
I po górach płachtę siną  
Porozścielał niezadługo.

Nazajutrz wolnymi kroki  
Witek ruszył wprost przed siebie:  
Piął się w górę przez opoki,  
Przez dzikie złomy i głązy,  
Czasem ze źródelka w żlebie  
Wodę pił, lub na upłazy  
Wdarłszy się, patrzył dokoła,  
I wtedy chwycił za skrzypki.  
Grał: a piosenka prostacza  
Gdzieś ponad gór łyse czoła  
Niosła się, gdzie orzeł szybki  
Kręgi na niebie zatacza;  
I padały skrzypek tony

W dół, gdzie w głębi niezmierzonej,  
Jak mieniące pióra pawie  
Przejrzyste, ciche jeziora  
Lśniły w kamiennej oprawie.  
Tak siedł lub grał do wieczora.

Rankiem wziął skrzypki do ręki,  
By zagrać wschodzącej zorzy.  
Lecz gdy padły pierwsze dźwięki,  
Witek nagle się zatrwoży,  
Bo coś po głazach się wije:  
Wielki wąż w złotej koronie  
Wyciąga ku niemu szyję  
I wspina się na ogonie  
I w takt nuty się wypręża.  
A co w tańcu skręci głowę,  
To korona żywiej płonie,  
Siejąc blaski brylantowe.  
Witek przestał bać się węża,  
Gra i patrzy na dyadem,  
Wąż tanecznym sunie splotem,  
Chłopak idzie jego śladem.  
Gra i gra wciąż bez ustanku,  
Czoło mu spłynęło potem,  
Lecz wspina się w trop za gadem,  
A korona w iskier wianku,  
Jarząca się jasnem złotem,  
Wciąż migoce przed nim cudnie.  
Tak szli obaj od poranku.  
Nareszcie w samo południe,  
Wąż w ciasnej mrocznej szczelinie  
Pod ogromną stromą skałą,  
Witkowi z przed oczu ginie.  
Chłopak za wędem się wciska,  
W czarną czeluść pcha się śmiało...  
Patrzy, ogromne jaskinie,  
A w nich złomy i zwaliska,  
Coś jak baszty, jak zamezyska,





Coś jak strzaskane filary.  
Stanie, gromnicę zapali,  
Kroczy naprzód przez pieczary:  
Przed nim ciężka, gruba krata,  
A za nią goreją w dali  
Jakieś okropne pożary,  
I stłumiony huk dolata  
I tysięcznych głosów gwary...  
— Stał u bram tamtego świata!







ROZDZIAŁ VIII.

POTEPIEŃCY.





rzeźgnał się Wit wyfękły,  
Wziął szkaplerze, relikwiarze  
I przyłożył je do kraty:  
Wrzeciądze w tej chwili pękły.  
Lecz wraz potem się ukaże

Piekielny klucznik rogaty,  
Kozłobrody, kozłonogi.  
Nastawił żelazne widły,  
Broniąc chłopakowi drogi;  
W trąbę zwinął pysk obrzydły  
I zadął jako trębacz.  
Zaraz biesów hufiec mnogi  
W podrygach na Witka skacze:  
— „Żywceem cheesz wnijsć w nasze progi!?”  
Umykaj! Bierz za pas nogi!  
Haż go! Haż go! Wnijsć nie damy!”  
Zawyły piekielne roty  
I nuż wypierać go z bramy.  
Lecz Witek swój krzyżyk złoty  
Z za koszuli wydobywa..  
— „Coś tu mam! Pojrzyjcie z blizka.”  
I horda biesów straszliwa  
Z przażeniem w tył się ciska,  
Przymrużając ślepie krwawe.  
A Witek: „Mizerna zgrajo,  
Mam do Lucypera sprawę,  
A nie do was, nędzne raby!”

Dyabły z dziwu słupem stają,  
Że chłopaczek mdły i słaby  
Tak sobie śmieje poczyna.  
— „Z drogi! Na mnie tu czekają,  
Bom ja piekłu zapisany  
Cyrografem!” — rzekł chłopczyna.  
I choć strach go skryty zbiera,  
Ruszył w ogniste czeluście.  
— „Ma sprawę do Lucypera —  
Rzecz klucznik — więc go puście!”

Przed nim droga się otwiera  
Poprzez olbrzymie pieczary,  
Oblane ogniów pożoga.  
Co stąpi, to pod podłoga  
Coś stęka i z każdej szpary  
Krew gorąca się rumieni.  
Spostrzegł Wit mękę tak srogą  
I na widok takiej kary  
Aż go przeleciało mrowie.  
— „Za co wy tu potępieni?”  
Zapytał pełen litości.  
— „My źli, okrutni panowie,  
Ta podłoga z nas wyciska  
Krew żywą, gniecie nam kości!”  
Z pod podłogi głos odpowie,  
I krew poprzez szpary tryska.  
— „Ja wam na to nie pomogę!”  
Rzekł Wit, lecz jak najłżeć kroczy  
Przez oną straszłą podłogę.

Nagle przeraził mu oczy  
Widok niesłychany zgoła:  
Grzeszników tłum wynędzniały  
Wił się po ziemi dokoła  
I jęczał w głodowej męce.  
Oczy gorączką pałały  
Z pod wybladłego ich czoła,



J.K.



Jedni do krwi własne ręce,  
Inni z głodu gryzli skały.  
Witka zabolalo serce.  
Zatrzymując się w pochodzie:  
— „Ktoście wy?” — pyta struchlały.  
— „My pijacy i obżerce,  
Schniemy w pragnieniu i głodzie.\*  
Wit kromkę chleba im daje,  
Ostatnią kromkę z kieszeni;  
Rzuciły się na nią zgraje,  
Wrzasku, wycia co nie miara,  
Jedni drugim potępieni  
Z ust wydzierali okruchy,  
Každy coś chwycić się stara...  
Uciekł z onej zawieruchy,  
Ale dalej inna kara  
Inne znów trapiła duchy.

Potępieńców niema chmara,  
Siedziała wśród ciszy głuchej,  
A było ich tam bez liku.  
Wit na próżno do nich gada;  
W milczeniu cała gromada  
Wskazała trwożnymi ruchy  
Coś na opuchłym języku,  
Co z ust wystaje na wierzchu.  
Ogromne, wstrętne ropuchy  
Rozeznał Witka o zmierzchu:  
Każda na końcu języka  
U potępieńca się mieści,  
I usta sobą zatyka.  
A rój szatanów się tłoczy  
I szydzi z onej boleści:  
— „Zelżyj! Zelżyj w żywe oczy!”  
— „Kłamcy!” — rzekł sobie Wit w duszy,  
„Dobrze im za ich ohydę,  
Mnie tam ich męka nie wzruszy,  
Niech cierpią, ja dalej idę!”

Poszedł, aż tu nowa rzesza  
Na gorsze skazana kaźnie:  
Nasz Witek ujrzał wyraźnie,  
Że każdemu z ust się zwiesza  
Miał języka żywa żmija,  
Co oddechem w oczy parzy,  
Koło szyi się obwija,  
Kąsa po głowie, po twarzy.  
Každy broni się rękoma,  
Lecz gdy ręką twarz zasłoni,  
Wtedy gadzina łakoma  
Sycząc, kąsa go po dłoni.  
A tłum biesów się natrzęsa,  
Wyprawiając w koło harce:  
— „Ha! ha! Jak was teraz kąsa  
Własny ozór, wy, potwarce!”





ROZDZIAŁ IX.

TRZEWICZEK PANA JEZUSA.





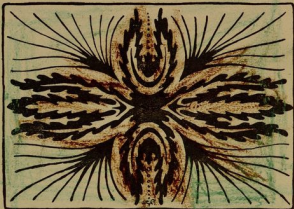
rzez jakiś wąwóz ponury,  
Drogą stromą i wysoką  
Wspinał się Witek do góry.  
Chwilami ustaje w trudzie  
I przysiada pod opoką,

A tam przed nim jacys ludzie  
Ciężary niezmierne wloką,  
Stękając przytem żałośnie  
W nieznośnej swojej mozole.  
Jemu w sercu zgroza rośnie,  
Bo słychać było daleko,  
Jak czartowscy poganiacze  
Z rogami na tysem czole,  
Biczami grzeszników sieką.  
Bitych potępieńców płacze  
I po drodze krwawe ślady  
Litością go przejmowały.  
Dognawszy onej gromady,  
Wit stanął pod złomem skały  
I patrzył, jak wielkie wory  
W przerażającej mozole  
Dźwigali na zgiętym grzbiecie.  
Widzi, że wór jeden spory  
Wlokło nieletnie pacholę,  
Parę lat starsze od Wita.  
— „Ciężary na plecach niesiecie?”  
Witek litościwie pyta,

Idąc przy nim wolnym krokiem.  
Na głos żywego człowieka,  
Zwrócił się chłopak zdumiony  
I spojrzął na Wita wzrokiem,  
Co krwawym płaczem ocieka.  
— „To nasze złodziejskie plony —  
Odrzekł z westchnieniem głębokiem.  
— Bóg je na srebrne talary  
Zamienił swoim wyrokiem;  
Im więcej kto kradł na świecie,  
Tem większe tutaj ciężary  
Przenosić musi na grzbiecie.  
Wszystkim nam pękają bary,  
Bo straszne brzemie nas gniecie.  
— „Toś i ty kradł?” — Bardzo wiele,  
Z rozpazą chłopiec odpowie.  
— Lecz przez wzgląd na młode lata  
Minęłaby mnie zatrata,  
Gdyby nie kradzież w kościele  
U Panny Maryi w Krakowie.  
Krzyż ogromny w bocznej nawie,  
Na srebrnej blasze się czerni.  
Od wiek wieka w każdej sprawie  
Doń uciekają się wierni  
I wieszają mnogie wota.  
Zaglądałem tam ciekawie  
Na tyle srebra i złota,  
A żem już był złodziej kuty,  
Więc kraść brała mnie ochota.  
Spokoju nie miałem póty,  
Aż się skryłem między stalle,  
Właśnie gdy kościelne wrota  
Na wieczór zamykać miano.  
Po nocy chciałem zuchwale  
Świątynię zrabować bożą,  
I w kącie czekać, aż rano  
Znów drzwi kościelne otworzą,  
A wtedy z łupem wylecę.

Miesiąc przez okna zaziarał,  
Więcem świece zdjął z ołtarza  
I zabrałem się do wotów:  
Łacnom je zrywał i zdzierał,  
Wnet z wszystkimi byłem gotów.  
Jeno u stóp Zbawiciela  
Wciąż mały trzewiczek złoty  
Miesięczną światłość odstrzela.  
Z nim dużo miałem roboty,  
Bo łańcuszkiem był przykuty.  
Ręką szarpie nadaremno —  
Zębami przegryzłem druty...  
Gdym zeskoczyć chciał z ołtarza,  
Poczułem, że ktoś nademną  
Mocno za włosy mnie trzyma...  
Nagła trwoga mnie przeraża  
Przed oną mocą tajemną,  
W uszach szum, a przed oczyma  
Uczyniło mi się ciemno...  
— Oprzytomniałem po chwili;  
Czegóż ja się głupiec boję?!  
O gwóźdź, którym boskie nogi  
Do krzyża tego przybili,  
Zaplotły się włosy moje!  
Targnąłem... ból czuję srogi,  
Rwę palcami włosów zwoje,  
Darmo! Trzyma mnie za głowę,  
Wszystkie włosy mi wyrwa...  
— Wtedy, w stopy Chrystusowe,  
W świętokradzkim strasznym gniewie,  
Pięścią uderzę zaciekle...  
Nagle, widzę, że coś splywa  
Z tych nóg po krzyżowym drzewie:  
To krew ciepła, krew prawdziwa!  
.....  
Padam... — Ocknąłem się w piekle!





ROZDZIAŁ X.

DUKATY i SREBRNIKI.







Chłopak mówił to cichaczem  
Ale wkońcu żalem zdjęty  
Wybuchnął ogromnym płaczem,  
Wornu swego straszne brzemię

Upuścił i sam z nóg ścięty  
Runął, jak długi na ziemię.  
Lecz w tej chwili czart z korbaczem  
Przyskoczy: „Wstawaj, przeklęty!”  
I bez miłosierdzia siecze  
Aż pod razami karczuga  
Czarnej krwi trysnęła struga  
I po ciele nagiem ciecze.  
Wita zdjęta taka zgroza,  
Ze rękoma zakrył oczy...  
Gdy je otwarł — u powroza  
Czart chłopaka włócił za szyję,  
A ten cały we krwi broczy,  
Idzie i — choć ledwie żyje,  
Wór swój dźwiga wciąż pod górę.

Inni też radzi nie radzi  
Szli, a pod biczem stękali,  
Aż doszli, gdzie skłębion w chmurę  
Dym bury z pod kotła wali.  
Jeden z piekielnej czeladzi  
Pod tym czarnym kotłem pali  
A drugi kopyścią miesza.

Stanęła złodziejska rzesza  
I z worów suła do kotła  
Moc talarów niezliczoną,  
Która ich w pochodzie gnioła.  
— Ognie wciąż pod kotłem płoną,  
Czart ciągle drzewa dokłada  
A srebro płynne się warzy;  
Wkrąg zatracieńców gromada,  
Z wyrazem zgrozy na twarzy,  
Stoi młcząca i blada.  
Przy każdym czuwa na straży  
Para dyabelskich siepaczy  
I potępieńcom przemocą  
Żar płynny leje w gardziele,  
Próżno z wrzaskami rozpaczy  
Miotają się i szamocą —  
Jeszcze drwią z nich dręczyciele!

Wit ciekaw był, co to znaczy,  
Litość mu serce przenika.  
Więc do jednego grzesznika  
Podszedł cichaczem, nieśmięle:  
Starzec był o zwiędłym ciele;  
W gardło mu zaciekle czarty  
Wlały kruszcu nazbyt wiele,  
Aż na ziemi legł bezwładnie,  
A z trzew, jak z sakwy rozdartej,  
Ognisty roztop wypływa.  
Witek z cicha go zagadnie:  
— „Za cóż ta kara straszliwa?”  
On spojrział nań mętym wzrokiem:  
— „O tak! Bóg srodze nas karze  
— Okropnym swoim wyrokiem!  
Myśmy skąpcy i lichwiarze.  
Żyjąc na świecie przed laty,  
Nigdy nie dałem jałmużny,  
Na głód patrzyłem nieczule,  
Choć byłem bardzo bogaty,

A jeśli mi kto był dłużny,  
Zdarłem ostatnią koszulę  
I nago wygnałem z chaty,  
Pod łóżkiem trzymałem skrzynię,  
W której chowałem dukaty,  
Co na to były jedynie,  
By je liczyć co wieczora,  
A ból czułem na dnie serca  
Na myśl, co z nimi uczynię,  
Gdy umierać przyjdzie pora;  
Roztrwonić ma spadkobierca  
Skarb z takim trudem zbierany?!  
Jakoż w śmiertelnej chorobie  
Rozkazałem swemu służce,  
By kupił kwaśnej śmietany,  
Do niej dukaty wsypałem  
I z śmietaną zjadłem sobie,  
By nie poszły w ręce cudze,  
Ale raczej z mojem ciałem  
Na wieki leżały w grobie...<sup>2</sup>  
Skąpiec chciał coś mówić jeszcze,  
Ale nagle dwa szatany  
Pochwyciły go jak w kleszcze  
I zamiast kwaśnej śmietany  
Kruszec w gębę znów mu lali,  
A Wit, przerażeniem gnany,  
Co temu stamtąd ruszył dalej.

Wnet napotkał nowe dziwy,  
Wszedłszy na dzikie pustkowie:  
U gałęzi wierzby krzywej,  
Co rosła w ciemnym parowie,  
Na powrozie wisiał człowiek;  
Wił się na stryczku pół żywy,  
A na jego ryżej głowie  
Siedział czarny kruk straszliwy  
I oczy — co wyszły z powiek —  
Dzióbem z pod brwi mu wydierał.

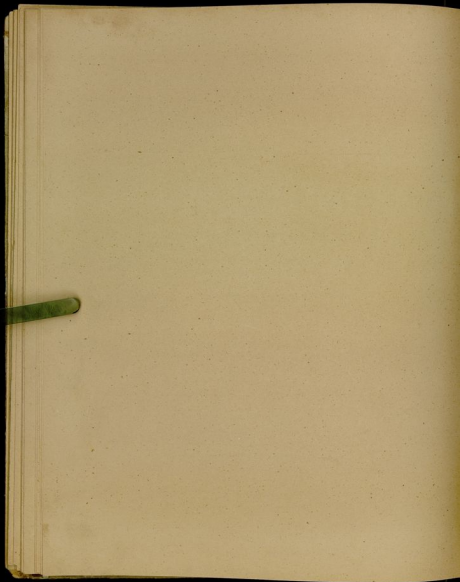
Obwieś rękoma się bronił  
I jęczał ogromnym głosem,  
I konał a nie umierał,  
I w drgawkach śmiertelnych dzwonił  
Przywiązany do nóg trzosem.  
A czart pod wisielcem w dziupli  
Uragał jego boleści:  
— „Mienia wam nikt nie uszczupli,  
Ja pilnuję Waszej Cześci!  
Apostolska miłość Wasza,  
Cięży trzos? Trzysta cetnarów!  
Jest w nim srebrników trzydzieści...”

Wit zląkł się, poznał — Judasza!  
I pędem pobiegł przez parów.



ROZDZIAŁ XI.

WĘŻE.





Przez urwiska i wąwozy  
Szedł, modląc się na koronce,  
Ale wkrótce pełen zgrozy  
Staął, milknąc w pół pacierza...  
Na rdzawej, bagnistej łące,

Kędy się wąwóz rozszerza,  
Zobaczył nagle przed sobą  
Przerażliwe widowisko.  
Ponad niewieścią osobą,  
Co padła w ucieczce widno,  
Węzów całe rojowisko  
Kłębi się, wspina i wije:  
Ten swych zwojów pętlą śliską  
Dławi dziewczki białą szyję,  
Ten w podrygach przed nią płąsa,  
Z paszczy ziejąc na nią ślinę,  
Ten dopadł ciała — i kąsa,  
Ów oplótł sobą dziewczczynę  
I z warg jej krew ssie różową.  
Tamtén w jasne włosów sploty  
Wślizgnął się jej krętym ruchem,  
Spierścienił się nad jej głową,  
Uwikłał się w kosie złotej  
I paszczką pod jej uchem  
Wpił się, w półkole wygięty...  
A w tej chwili ciał swych skręty  
Na jej nogi, na jej ręce

Zarzuciły inne gady;  
Ona zaś w bezwładnej mecie  
Podniosła głośne lamenty.

Witek z przerażenia błądy  
Stanął, jakby ostupały;  
Ale wnet litością zdjęty,  
— I wspomniawszy węzów króla —  
Zagrał... Ledwie posłyszaly,  
Pełzną k'niemu w takt muzyki,  
Wnet kłęb gadów się rozhuła,  
Wpadając w szal tańca dziki.  
Coraz prędzej, żwawiej, chyżej  
Smyczek mu po strunach lata,  
Gady wstają coraz wyżej,  
Łeb przy łbie w górę się pręży,  
Krag się splata i rozplata...  
Witkowi mdleją ramiona,  
Ale smyczka z rąk nie puszcza,  
Gady skaczą coraz ciężej,  
Blask w ich ślepiach zwolna kona,  
W drganie przeszedł taniec węży,  
Aż omdlała gadzin tłuszcza.  
Tymczasem dziewczyna owa,  
Z bólu na wpół obłąkana,  
Wstała — w milczącej podzięce  
Objęła go za kolana  
I nie mówiąc ani słowa,  
Jeła mu całować ręce!

— „Uchodź” — szeptem Wit powiada  
I w milczeniu obydwójce  
Biegł przez piekielne jary.  
Wkońcu zmęczona i blada  
Stanęła: — „To granie Twoje  
Nie uwolni mnie od kary” —  
Zdyszana do chłopca rzecze  
— „Lecz choć nikt stąd nie uciecze



Od mąk bez końca i miary,  
Błoga mi choć ta godzina,  
Za nią ci, dobry człowiecze,  
Dziękuję!“ Zmilkła dziewczyna,  
Bo płacz jej mowę przerywa.

Stłumiła po chwili łkanie.

— „Wiesz, za co moje męczarnie?

Boska ręka sprawiedliwa,  
Nikt jej nie ujdzie bezkarnie,  
Każdy zapłatę dostanie!

Opowiem ci o mej winie;  
Choć mi serce z żalu pęka,  
Lżej mi będzie na sumieniu.

— Zbrodnia moja w świecie słyńie,

Jest o niej stara piosenka;  
Znasz ją? — o czarnym kamieniu,  
Co leży na białej roli?

Siedzi na nim Podolanka  
Smuci się w sierocej doli,  
Przyszedł Niemiec, cudzoziemiec,  
I zażądał od niej wianka.

A dziewczyna odpowiada:

— „Wianek bym ci dała rada,  
Ale ja się brata boję“ —

— „Porzuć wszelkie niepokoje,  
Idź do wiśniowego sadu,  
Zjadliwego najdziesz gadu,

Siekaj go w kawałków krocie,  
Potem z niego nawarż jadu,  
A gdy brat przyjedzie do cię,

Niechaj wypije szklenię!“

Przenamowił mnie, nędznicę.

Brat przyjeżdża przede wrota:

„Otwórz mi siostroniu złota!“

Ja szklenię z jadem chwycę:

— „Napijże się miły bracie,

Długom ja czekała na cię!“

A brat pije, z konia spada,  
Otruła go siostry zdrada.  
Przyszedł Niemiec, eudzoziemiec,  
Powitałam kusciela:  
— „Gotujmy się do wesela,  
Dobra była twoja rada...”  
Ten mi na to odpowiada:  
— „Trucicielko swego brata,  
Zmiotłabyś i mnie ze świata!”

Zapałł na mnie wyrok Boży:  
Posiekany gad się mnoży,  
Tysiąc węzów mnie oplata,  
W żywe ciało mi się wpija,  
Potępienam za śmierć brata,  
Wieczność mi w męczarniach mija.“

Syk węzów zgłuszył jej słowa,  
Suną rozwarłszy paszczęki,  
I cała chmara węzowa  
Znowu ją chwyta na męki.



ROZDZIAŁ XII.

LILIE.





szedł dalej w piekielną knieję  
Pełen lęku i zadumy.  
Czuł, że już na ducha mdleje:  
Przebył potępieńców tłumy,

Ludzkich zbrodni słyszał dzieje,  
Widział katusze i rany,  
Gorzkich łez i krwi potoki  
I straszne Boskie wyroki,  
Więc go zgroza przeraziła.

Wpośród posepnej polany  
Zatrzymała jego kroki  
Samotna jakaś mogiła;  
Białych lilii pęk wysoki  
Rósł na niej, niby na grzędzie.  
— Staje Witek zmordowany  
I pod mogiłą usiedzie.  
Przed nim, naksztadt czarnej ściany,  
Bór się rozpościera wszędzie  
Nakryty grobową ciszą.  
Chłopiec w górę podniósł oczy,  
Gdzie nad głową jego wiszą  
Śnieżystych kwiatów kielichy...  
— Dębem stanęły mu włosy,  
Bo krwią każda lilia broczy,  
Każda pełna krwawej rosy.  
A wtem jęk usłyszał cichy

Gdzieś za sobą, czy przy sobie...  
Skoczył... — „Kto tu? Kto tu?“ — woła  
Zdjęty niewymowną trwogą.  
Krzyżyk chwycił w ręce obie  
I rozgląda się dokoła,  
Nie widzi jednak nikogo...  
Znów jęknął... tuż pod nim, w grobie!  
Chciał uciekać w pierwszej chwili,  
Lecz przemógł w sobie obawę,  
Więc rozgarnia lilie krwawe  
I nad mogiłą się chylił;  
Patrzy, aż pośród korzeni,  
Zwikłanych w dziwaczne sploty,  
Niewyraźnie mu się mieni  
Coś nakształt ludzkiej istoty:  
Czaszka wygnita na poły,  
Którą korzenie liliowe  
Objęły swoim uściskiem,  
W oba krwawe oczodoły  
Tej nędznej, półżywej głowy  
Lilie wrosły kłaczem śliskiem.  
I z rozdziawionej gardzieli,  
Ziejącej chrapliwe jęki,  
Także kłęk lilii się bieli...  
I żyje ta czaszka łysa,  
I czuje swoje cierpienie,  
Mózgiem żywi kwiatów kłęki,  
Kwiat każdy krew z niej wysysa,  
A szyję dławia korzenie,  
Tłumiąc w piersi dech i jęki.

Wit bez uczucia i bez ruchu  
Stał, jakgdyby skamieniały,  
Jeno strach i ból miał w duchu;  
Kolana się pod nim chwiały,  
Chciał biedz, lecz go w miejscu trzyma  
Zgroza, która pierś mu tłoczy —  
Próżno chciał odwrócić oczy,

Stał, z wlepionemi oczyma  
W to ludzkie żyjące próchno...

Lille wkoło się zdawały  
Coraz bielsze, coraz bledsze,  
Wiatr kołysał je leciuchno,  
Každy kielich trupio-biały  
Kapał rosą purpurową...  
Witek poczuł, że powietrze  
Jęło drgać nad jego głową;  
Słucha.. wtem jęki wybuchną  
I dziwny głos płynie z góry,  
Jakgdyby pieśnią żalną  
Niewidzialne brzmiały chóry,  
A z tych dźwięków słowa rosną:

— „Zbrodnia to niesłychana  
Pani zabiła pana,  
Zabiwszy grzebie w gaju,  
Na łące przy ruczaju,  
Grób lilią zasiewa,  
Zasiewając tak śpiewa:  
Rośnij lilio wysoko  
Jak pan leży głęboko...  
Teraz mężobójczyni  
Sprawiedliwość Bóg czyni,  
Rośnie nad nią lilija,  
Krew i mózg z niej wypija,  
Korzeniami ją dusi...  
Zbrodnia to niesłychana  
Pani zabiła pana —  
Gnić pod liliami musi,  
Żywiąc je swą posoką;  
Rośnij lilio wysoko,  
Rośnij w górę, a rośnij  
Jak pan leżał głęboko!“

Śpiew brzmiał coraz to żałośniej  
I z echem płynął powoli;

W grobie zabójczyni męża  
Stęka, miota się, rozpręża,  
Snać ją każde słowo boli.  
I rękę okropną, suchą,  
Porzniętą czarnemi żyły,  
Z nożem wysuwa z mogiły;  
A chór duchów jęczy głucho:

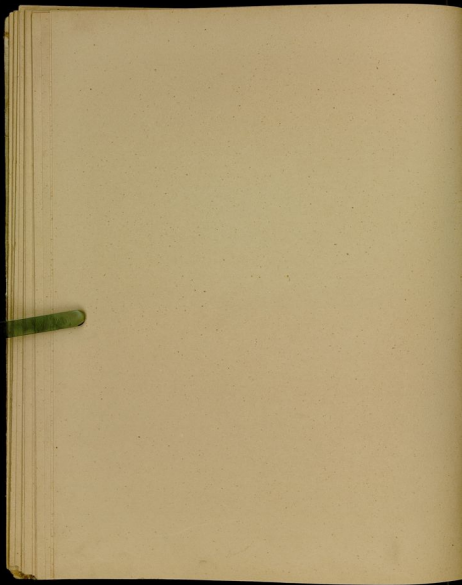
— „Zbrodnia to niesłychana,  
Pani zabiła pana...”





ROZDZIAŁ XIII.

KORONA NA WIEŻY  
i  
MYSZY KRÓLEWSKIE.





dalszej piekielnej podróży  
Nowe męki i widziadła  
Spotkał Witek. — Im zaś dłużej  
Wędrował w piekielne głębie,  
Tem twarz jego bardziej bladła,  
Tem żal wzrastał w sercu na dnie.

Na wieży urwistym zrębie,  
Co widna była z daleka,  
A zdało się, że w gruz padnie,  
Tak spękane miała mury —  
Ujrzał Wit postać człowieka.  
Czarne, skrzydlate szatany  
W przepaść go spychały z góry,  
On zaś, krwią własną oblany,  
Wieszał się czartom u rogów,  
Chwytał się ich nóg rękoma,  
Czepiał się rozpacznie ściany,  
Lecz śliska była i stroma...  
Runął wśród chichotu wrogów  
I legł na dole strzaskany  
O krawędzie skalnych progów.  
Wtedy piekielni siepacze  
Loty swoje nietoperze  
Rozpościerali szeroko —  
Zgraja biesów na dół skacze,  
Złata, potępieńca bierze

I znów do góry go włoka,  
W ciało wpijając mu szpony,  
Znów stawiają go na wieżę;  
On zaś krwawy, potłuczony,  
Zrywa się do walki z niemi  
I znów próżno się boryka —  
Wnet skrwawion legnie na ziemi...

Wit skrył się za węgiem wieży  
I zanim czartowskie zgraje  
Z góry spadną na grzesznika  
I na szczyt wieży z nim wleczą —  
Wzrokiem ciekawym go mierzy  
I pytanie mu zadaje:  
— „Ktoś ty zacz?” — On podniósł nieco  
Głowę, z której mózg wypływa,  
I krzyknie: — „Istota żywa!  
Człowiek jesteś w żywym ciecie!  
Skąd tutaj!?” — „Idę z Krakowa”.  
A ten wdychając odpowie:  
— „Jeśli tak, to pojdziesz wiele,  
Choć rzeknę jeno dwa słowa,  
Bom słynał niegdyś w Krakowie —  
Jam na Maryackim kościele  
Wyższej wieży budowniczy!”  
Urwał — bo szatańskie mrowie  
Już nad nim w powietrzu ryczy,  
Już go w swoje szpony chwytą  
I znów go stawia na szczycie.

Ale słów tych dość dla Wita,  
Wszystko pojął należycie.  
Wiedział, co znaczy nóż rdzawy,  
Zawieszony w Sukiennicach,  
Znał powieść o dwóch wieżycach  
I dwóch braci śmierci krwawej:  
Był zakład, który z dwóch braci  
Wyżej swoją wieżę wzniesie.

Starszy już nadzieję traci,  
Bo wieża młodszego pnie się  
Z dniem każdym wyżej do góry,  
Snać głębsze jej fundamenty  
I grubsze u dołu mury.  
Zazdrością i gniewem zdjęty,  
Czuł, że gdy będzie skończona,  
To na niej błysnie korona;  
Więc dokończył swej struktury  
Wpierw, nim brat swojej dokona,  
I nóż wbił mu na wskrós łona.  
Tak zdobył koronę złotą:  
Jego jest Maryacka wieża,  
Która góruje w błękitie.  
Koronę kładł na jej szczycie...  
Lecz trawion wewnętrzną zgryzołą  
Sam sobie karę wymierza,  
Skokiem z wieży kończąc życie.

O tem wszystkim zadumany  
Witek długo stał pod wieżą,  
Lecz się ocknął, bo z za ściany  
Dziwny hałas go dolata:  
Dębem włosy mu się jeżą,  
Takie słyszy straszne piski!  
Patrzy — tuż ponad nim krata  
Zamyka małe okienko;  
By w nie spojrzeć, był za niski,  
Więc prętów chwycił się ręką,  
Nogami wspiął się na głazy,  
Zajrzał do wnętrza przez kratę  
I zadrzał pełen odrazy:  
Ujrzał sklepioną komnatę,  
Tron w pośrodku, a na tronie  
Mąż w królewską odzian szatę,  
Z wybladłym czołem w koronie  
Wije się i miota z jękiem...  
— Podłoga i tronu stopnie

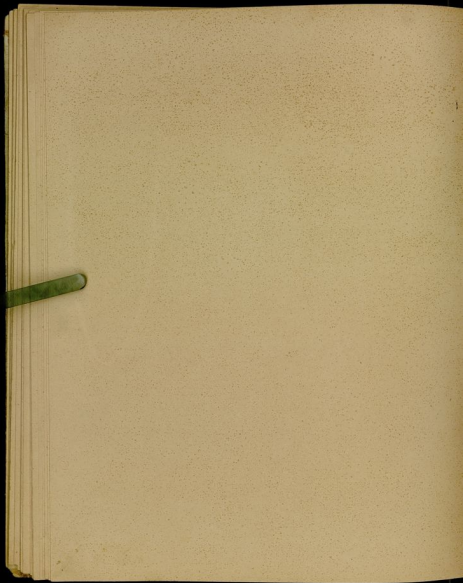
I tron — od myszy się mrowi.  
Ich zgrzyt, skrobot brzmi okropnie!  
Z gwizdaniem ostrzem i cienkiem  
Suną przeciwko królowi,  
Biegają mu po odzieży,  
Ławą pchają się w rękawy,  
Żrą go, w krwi się pławią świeżej,  
Z piersi piją strumień krwawy,  
Król pada w nierównej walce,  
Jeszcze stęka, jeszcze dyszy...  
A drgające jego palce  
Do krwi ogryzają myszy,  
Z czaszki wysysają oczy...  
Rośnie ciągle mysia tłuszczka,  
Drapieżna, mięsa łakoma,  
Do ust hufcami się tłoczy,  
W żywe ciało zęb zapuszcza.  
Król kościanemi rękoma  
Odpycha nieprzyjaciela,  
Z wrzaskiem z posadzki się zrywa.

.....  
I czyjaż to kaźń straszliwa?!  
Wit poznał — króla Popiela...



ROZDZIAŁ XIV.

MADEJOWE LOŻE.







aż go! Trzymaj! Bierz go w kleszcze! —  
Słyszysz Wit za sobą w tyle,  
I wpraw, nim się spostrzeżę jeszcze,  
Wpada nań dyabłów czereda  
I łap go! — Było ich tyle,

Iż poczuł, że rady nie da,  
Bo krzyżyka ni szkaplerzy  
Dobyć nie mógł z pod odzieży.  
— „Będzie ze mną teraz bieda!!!”  
Myślał sobie Wit struchlały,  
A hufiec szatanów cały  
Wlecze go i pędem bieży,  
Pochwyciwszy go w pazury...  
W dali Popielowej wieży  
Zostały za nimi mury.  
Mkną z nim czarci, jakby gnani  
Wirem piekielnej wichury,  
Na dno podziemnej otchłani  
Przez siarczanych dymów chmury.  
Witek w tym okropnym pędzie  
Prawie nie czuł w piersiach ducha,  
Dusił się w dymie i śwędzie,  
Który ze smolnej czeluści,  
Kłębami ku niemu bucha...  
W krąg niego trzepie się, szuści  
Dyablich skrzydeł zawierucha...

Lecz nagle na dnie kotliny  
Zatrzymały się szatany,  
Siarki płonącej blask siny  
Padał na skaliste ściany;  
W środku przyrząd jakiś wielki,  
Nakształt łoża zbudowany,  
Stał w świetle łuny siarczanej.  
W nim dębowe tramy, belki,  
Korby, kół zębatach kręgi,  
A na wierzchu tej budowy  
Połysk rzucały stalowy  
Kolce, świdry i obcegi,  
Gwoździe, brzytwy, sierpy, haki,  
Krzywe miecze i tasaki,  
Strasliwe zębate piły,  
Widły, siekacze i kosy  
I ogromne ostre noże  
Stałą się błyszczącą lśnity.

A Witkowi dębem włosy  
Ze zgrozy stają na głowie  
I zaledwie ustać może,  
Bo się nogi pod nim słońią,  
A po kościach idzie mrowie.  
„Hi! Na Madejowe łożo!”  
Ryk szatański się ozowie...

Wit w zanadrze sięgnął dłonią  
Po sznur świętego Franciszka,  
Gdy wtem ku onej budowie  
Porywają chłopca czarty;  
Ślepią jak u bazyliuszka  
Od złości iskrzą im krwawo.  
Wit wleczony, pehany, party  
Próżno szarpie się i ciska,  
Bo dyabły niosą go ławą,  
Serce z trwogi w nim się wzdryga:  
Straszne łożo ujrzał z blizka...

Dwóch czarnych korbami kręci,  
Oś obraca się jak fryga,  
Jedno kółko drugie ściga,  
Dyabli kręcą jak najęci,  
Ostrz tysiącem łoża miga.

— „Ratujcież mnie wszyscy Święci!”  
I franciszkańskiego paska  
Dobycszy, na biesów śmiga,  
Raz wraz jak z bicia nim trząska;  
Czarni w ryk, lecz on nie pyta  
I bez miłosierdzia chłosta,  
Węzłami po grzbietach wali.  
Rum się czyni koło Wita,  
Bo czarci, spuściwszy chwosta,  
Z wyciem ruszyli z kopyta  
I co ducha uciekali.  
Trwoga ich ogarnia taka,  
Że na oślep gnają cwałem —  
Lecz jeden, dając drapaką,  
Potknął się — i całym ciałem  
Padł na łożo Madejowe,  
A wtem rozpedzone koła  
Chwytają go w swoje tryby,  
Kleszcze łapią go za głowę,  
Dyby ściskają mu pięty,  
Że ani wrzasnąć nie zdoła.  
Jeno skacze naksztalt ryby  
Z wody na piasek wyjętej.  
Z dyabła tryska krew i smoła,  
Bo go widły rwą na szczęty,  
Rzną go piły, szarpią haki,  
Koła gwoździe, krają koosy,  
Rąbią miecze i tasaki,  
Wiercą świdry, noże sieką...  
Bies wyje wilczymi głosy,  
Aż się rozlega daleko.

Tak Witek z okropnej toni  
Wyszedł cało z Bożej łaski.  
Zębem o ząb z lęku dzwoni,  
Ale krzepi się jak może,  
Uszy zatyka na wrzaski  
I co siły naprzód goni.  
A na Madejowe łoże  
Już się nawet nie obziera...  
— Odmówił kilka pacierzy,  
Lecz nie stając naprzód bieży,  
By raz dojść do Lucypera.



ROZDZIAŁ XV.

LUCYPER.





itek w modłach nie ustaje  
I naprzód idzie wytrwale  
Poprzez piekiel otchłań ciemną,  
Przez one przekłete kraje,  
Co słońca nie znają weale

I tylko łuną podziemną  
Goreją w strasznej czerwieni;  
Czarnych jezior trupie fale,  
Kipią, krew się na nich pieni,  
Jęki wstrząsają ich głębią...  
Wkrąg — wiecznych ogniów pożary,  
Dymy rude, krwawe pary  
Wrą, kotłują się i kłębią,  
A w nich wyją potępieni.  
— Ogromne duszne pieczary  
Ciagną się dalej i dalej  
Bez końca liczby i miary;  
Na słupach z żywych płomieni  
Sklep onych pieczar się wspiera,  
Z rykiem i wrzaskiem się pali  
Słup każdy, bo w te filary  
Z ognia grzesznicy wpleceni  
I żar ich wieczny pożera.

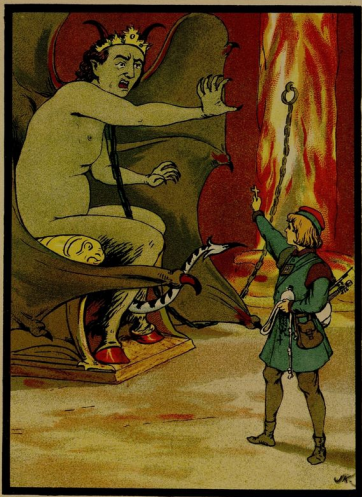
W ostatniej, największej sali  
Podłoga i strop i ściany  
Od roztopionego złota  
Kapią — i drogich kamieni,

I od czerwonych koralu...  
Skarb okrutny, nieprzebrany,  
Czarodziejskie błyski miota,  
Jarzy się, migocze, mieni.  
W pośrodku skarbów, za szyję  
Na łańcuchu przykowany  
Do gorejącej kolumny  
W mękach targa się i wije  
Mocarz, strącony cherubin,  
Niebios rokoszanin dumny,  
I rozpacz taka go bierze  
I ból taki, że mu płyną  
Z oczu łzy krwawe jak rubin.  
— Wyższy nad najwyższe wieże,  
Z twarzą jako popiół siwą,  
W skrzydła swoje nietoperze,  
Jak w dwa wielkie czarne żagle  
Łopocze w ustawnym ruchu,  
I szarpie kajdany one,  
Mało że ich nie pozrywa.

Pierścienie w owym łańcuchu  
Ma Lucyfer wyliczone:  
Tyle ich, ile dni w roku.  
Codzień łańcucha ubywa  
Po oku, zawždy po oku,  
Aż dojdzie na Wielki Piątek  
Do ostatniego ogniwa;  
Wtedy mu żarem dopieka  
Ów słup... Do Zielonych Świątek  
Wyje, sparzony do żywa  
I ledwie że się nie wścieka.

Lecz teraz — iż było w lecie —  
Więc łańcuch ogniów miał dużo  
I po Lucyfera grzbiecie  
Zwisał, pomiędzy obrozą  
A ognistym owym słupem.







Gdy Witek ujrzał olbrzyna,  
O mało że nie padł trupem;  
Zdrętwiał, ale w rękę trzyma  
Relikwiarze i różańce,  
I święconą wodę w bańce,  
I szkaplerze poświęcone,  
I zakonne białe sznury.  
Zmówił: Pod Twoją obronę,  
A potem głowę do góry  
— Jak tylko może — zadziera  
I co jeno gardło zdoła  
Na piekielnego skrzydłacza  
Z dołu wielkim głosem woła.  
Ryknął czart — a chłopiec koła  
Święconą kredą zatacza  
Na ciemnej piekiel posadze.  
Gniew zdjął piekielnego władcę,  
Pochyla się nad chłopakiem,  
Wyciąga ku niemu szpony,  
Lecz Wit ciągle krzyża znakiem  
Żegna w cztery świata strony:  
Czart, z przeraźliwym skowytom,  
Cofnął ramię przerażony...  
Lecz wnet wszystkie zebrał moce  
I olbrzymiem swem kopytem.  
Już... już go w miazgę druzgoce,  
Jeno mu święcona kreda,  
Zakreślona na podłodze,  
Do Witka przystępu nie da.  
A wtem chłopiec mu na nodze  
Długi różaniec omota;  
Lucyfer ze złości zgrzyta,  
Nogą skrępowaną miota,  
Skulił się i w łapy obie  
Różaniec piekący chwyta,  
Pazurami drze i skrobie,  
Cheąc więzy zerwać z kopyta.  
Sam Bóg widać natchnął Wita:

Porwał franciszkańskie sznury,  
Zarzucił mu na pazury  
I łapy z kopytem wiąże.  
Zawył szatańskie księżę,  
Aż piekiel zadrżały mury,  
Wit relikwiarze, szkaplerze  
Przytknął mu do żywej skóry,  
Zaczem do bańki się bierze,  
Zmaczał w niej wielkie kropidło,  
Kropi z boków, z dołu, z góry.  
Gdzie woda kapnie na skrzydło,  
Tam w błonach wypala dziury.  
Czart ryczy paszczą przebrzydłą,  
Aż się po piekle rozlega;  
Zawtórzyły dyabłów chóry,  
I hufiec biesów nadbiega,  
Ale Witka to nie strwoży,  
Że rogi srożą na czole,  
On w swoim kredowem kole  
Stoi ciągle niezachwianie  
I ciągle do Matki Bożej  
Odmawia głośno Litanie,  
A co który się przybliża,  
To go kropnie znakiem Krzyża.  
Z piekłem było coraz gorzej,  
Widzą, że nie zmogą Wita,  
Więc Lucyfer słabym głosem:  
— „Czego żadasz?” — chłopca pyta,  
— „Mój cyrograf mi oddacie!”  
— „Niema rady z tym młokosem,  
Jest tam gdzie dyabeł Rokita?  
Oddaj mu cyrograf bracie!”  
Pińskie dyablę z krzywym nosem  
Wyskoczyło poprzód zgraję:  
— „Jest cyrograf, bierz i kwita,  
Tylko puść nam Lucypera”.  
I pismo chłopcu oddaje,  
Zgrzyta i zezem poziera.



ROZDZIAŁ XVI.

SKRZYPECZKI.





yrograf schował w zanadrze  
I wraca<sup>o</sup> przez całe piekło;  
Biegnie za nim dyabłów tłuszcza,  
Ale żaden z nim nie zadrze,  
Widno dość im już dopiekło.

Po skrzypeczkach smyczek puszcza  
I zagrał sobie radośnie,  
Bo w nim dusza tak szczęśliwa,  
Bo mu w piersiach serce rośnie.  
Wciąż wygrywa i wygrywa,  
Idąc przez piekielne sale  
Bogu wygrywa ku chwale.  
Wtem nagle spostrzegł — o dziwa! —  
Że gdzie jeno wśród przestrzeni  
Skrzypek nuta się rozplywa,  
Gdzie się dźwięki zakotłyszają,  
Tam wraz milkną potępieni,  
Już nie jęczą, już nie dyszą,  
Wrzasków, ryków zawierucha  
Nakrywa się wielką ciszą.  
Wszystko milczy, wszystko słucha,  
Zatraconych ludów rzesza  
Wyciąga stęsknione ręce  
Ku skrzypeczkom, ku piosence,  
Co ludzkie serca pociesza.  
Nawet i w piekielnej męce  
Mniej bolą wszelkie męczarnie,

Ogień wieczysty mniej parzy.  
Więc tłum do skrzypka się garnie;  
— „Graj!” — szepcą ze łzą na twarzy,  
— „Nie odchódź! Graj nam w tej biedzie...”  
Nawet o szatańskie uszy  
Skoro uderzy muzyka,  
To i w czartowskiej czeredzie  
Łagodniej wściekłość dzika.  
Wszędzie przed Witkiem na przedzie  
I poza nim wszędzie w tyle,  
Gdzie skrzypek doleci granie,  
Zmilknie jęk i kaźń ustanie  
Chociaż na tę małą chwilę,  
Dopóki nie przebrzmia echa.

Idzie Witek przez otchłanie,  
Gra i cicho się uśmiecha..  
A gdzie za nim zamrą dźwięki,  
Gdzie się zrobi cisza głucha,  
Tam się znowu zaczną męki,  
Ciał katusze, rozpacz ducha,  
Słychać wrzaski, skargi, jęki...  
Wciąż wygrywając piosenki,  
Doszedł do wchodowej kraty.  
Ten sam odźwierny rogaty  
Teraz wybija ukłony  
I otwiera mu zawory.  
Witek wyszedł właśnie z bramy,  
Gdy śmiech, piski, rozmowory  
Doleciały go z pomroki;  
W tej przedpiekielnej pieczarze  
Krzyk słyszy, tupanie, skoki,  
Ktoś chichocze się figlarnie,  
Głos jakiś otwierać każe...  
Więc klucznik podniósł latarnię,  
Wprzód zobaczy, zanim wpuści.  
Lunęły światła potoki  
I Witek w skalnej czeluści



Ujrzał dyabelskie wesele:  
Pan młody — czart zezooki  
Na ogromnym czarnym capie  
Cwałował dziarsko na czele,  
Za nim zgraja biesów szłapie,  
Ów na grabiach, ów na mietle,  
Otoczona tym orszakiem  
Panna młoda — na łopacie.  
Witek przy latarni świetle  
Widział, że siedzi okrakiem,  
Wrzeszcząc: „Hej, czy otwieracie?!“  
Wpół obnażona do pasa  
Uganiała w czarćim tłumie:  
— „Hop! Hopsasa! Hop! Hopsasa!“  
— Witek poznał Madejową!  
Jęła krzyczeć: „Nalej kumie,  
Napijmy się, bo to zdrowo!“  
Bies lał gorzałkę ze smolą,  
A ona, nawpół pijana,  
Zęby szczerzyła wesoło  
I śpiewała: — „Dana! Dana!“

Zgrzytnęły piekiel podwoje  
I szatańskie weselisko  
Runęło w pełnym galopie  
Tuż, tuż obok Witka blisko.  
Pojrzało za nimi chłopię,  
Szeptać: — „Wziął dyabeł, co swoje!“

Światła zgasły. Ciemno, ślisko,  
Ciasną wyrwą między skały  
Witek śmiało naprzód kroczy,  
Lecz wrychle stanął zdumiały,  
Myśląc, iż go łudzą oczy:  
W mrokach po skalnym uplacie  
Sama się ku niemu toczy  
Złota korona wężowa.  
Bał się jej dotknąć na razie,

Lecz kiedy cała iskrząca,  
Świetlana i brylantowa  
Padła i w stopy go trąca,  
Wziął ją i w zanadrze chowa.

Niebawem z dusznej pieczary  
Wyszedł w jasną noc miesięczną;  
Na niebios ciche bezmiary  
Żrenicę obrócił wdzięczną:  
Jak mu jest — sam dobrze nie wie.  
Zmówił pacierz, skrzypki chwyta  
I przy wichrów górskich wiewie,  
Przy potoków górskich szumie  
Rozśpiewana dusza Wita  
Gra najpiękniej jako umie!



ROZDZIAŁ XVII.

POKUTA MADEJA.





Witka cięta była sztuka:  
Do Madeja rozbójnika  
W trzy dni później śmiało puka,  
Drzwi, nie czekając, odmyka:  
— „Niechaj będzie pochwalony!”

I do izby wszedł bez trwogi.

Madaj leżał na tapczanie  
I gryzł się zniknięciem żony.  
— Zerwał się na równe nogi  
I do ócz śmiałkowi stanie...  
Poznał go i siadł na ławie:  
— „Patrzcie go! Znowu ten chłystek!”  
— „Jestem! Z piekła wracam właśnie,  
Bo przyrzekłem, że się stawię”.  
— „Łżesz jak Niemiec, przyjacielu,  
Piekło, to wierutne baśnie”.  
— Zaczął Wit o swej wyprawie,  
O jego żony weselu,  
Jak jechała na łopacie  
Jako biesa narzeczona;  
Łacno Madaj się przekona,  
Bo łopaty nie masz w chacie,  
A kiedy chłopak dobywa  
Cyrografu z pod ubrania,  
Nie mogło być już gadania,  
Że piekło — rzecz nieprawdziwa.

Dopieroż Witek zaczyna  
O karze, jaka go czeka:  
O łożu, co kole, sieka,  
Przebija, płata, rozrzyna.  
Madejową twarz obleka  
Bładość woskowa i sina,  
Dębem powstają mu włosy.  
Wciąż mówić musi chłopczyną  
Ale nastarczyć nie może,  
Bo Madej bez końca pyta  
O te gwoździe, o te kosy,  
O te brzytwy, o te noże;  
Zanim z opowiadań Wita  
Poznał swe piekielne łożo,  
Przeszła niejedna godzina.  
Aż zbój za głowę się chwytą,  
Jęcząc: — „Miłosierny Boże!  
Moja wina! Moja wina!  
Odpuść-że mi Boże Święty!”  
Zaczem popadł w zimną trwozę,  
Jako dąb runął podcięty  
I bił czołem o podłogę,  
Tak iż krew zalała ciemię...  
— „Przeklęty skarb ten! Przeklęty!  
To była moja pokusa!  
Bogdaj zapadł się pod ziemię!”  
Ledwie wymówił te słowa,  
Beczka z kąta dała susa,  
Pękły skryte pod nią wrota  
I okropna jakaś głowa,  
Niby sowa, a nie sowa,  
Wyszczerza się i chichota:  
To piński dyabeł Rokita,  
Co wwiódł Krzysztofora w błota  
I cyrograf miał na Wita!  
Szezękły, brzękły kupy złota,  
Pereł i drogich kamieni,  
I skarb zapadł się z szatanem.







Wit i Madej przerażeni  
Stali w miejscu jak przykuci...  
Z chałupy wyszli nad ranem,  
Pewni, że już bies nie wróci.  
Madej oprzytomniał nieco,  
Widząc, że już w boru dnieje;  
Więc na kolana się rzuci  
I chłopcu jał swoje dzieje  
Rozpowiadać od początku.  
Płacz przerywał mu co chwilę,  
Wit przeto z całego wątku  
Zrozumieć mógł jeno tyle,  
Że zbój — chłopcem — od kradzieży  
Zaczął być, w sadzie sąsiada,  
Utrząsłszy jabłek z jabłoni;  
Więc na skargę sąsiad bieży  
I niepoń z ojcowskiej dłoni  
Karę dostał jak należy.  
Zemsta w serce mu się wkłada,  
Pofolgował zły naturze:  
Ściął jabłoni, pałkę z niej stróże  
I na ojca z nią napada.  
Uderzył i... zabił w gniewie!  
Biegnie matka, woła ludzi,  
Krzyczy, całą wieś rozbudzi;  
Madej sam, co robi, nie wie,  
Pałką czaszkę jej rozplata!  
Uciekł w bory, na pustkowie  
I żył z daleka od świata.  
Na niejednej potem głowie  
Pałka jego krwią ociekła,  
Padały mnogie ofiary,  
A zbój z nieba drwił i z piekła  
I skarb gromadził bez miary...  
— „Już ja niczem na tym świecie  
Tylu zbrodni mych nie zmyję!  
Sumienie jak głąz mnie gniecie  
I kasa mnie jako żmije!”

Wit pocieszał rozbójnika:  
— „Bóg jest miłosierny przecie!  
A łzy szczere pokutnika  
Milsze mu są niżli czyje,  
Niemi grzechy odpłaczenie!”

Madej pałkę w ziemię wtyka:  
— „Tu, od dziś dnia, dla pokuty  
Będę pod nią klęczał póty,  
Póki pałka nie ożyje  
I nie stanie cała w kwiecie,  
I listeczków nie rozwije,  
Podlewana łzami memi...  
Bóg jest miłosierny przecie!”

Ukląkł pod pałką na ziemi,  
Płacze i w piersi się bije;  
Sumienie go jak głaz gniecie  
I kasa go jako żmije!



## ROZDZIAŁ XVIII.

## SKARBY.





LIBLIOTECA M.  
BN  
PARODON



Witek w skwapliwym pochodzie  
Kierował się brzegiem Wisły.  
Dnia jednego o zachodzie  
W oddali przed nim zabłyśły  
Wieże i baszty Krakowa;

Zabiło mu serce w łonie,  
Siła wstąpiła weń nowa  
I z oczu łzy mu wytrysły.  
Więc przez pola i przez błonie  
Ruszył przyspieszając chodu:  
Przed nim Wawel blaskiem płonie,  
Szczyty królewskiego grodu,  
Wieżyce, dachy i mury  
Jarzą się łuną zachodu;  
Maryacka wieża w koronie  
Czołem wystrzela do góry,  
I w spżżowe dźwięcząc tony  
„Anioł Pański“ śpiewa miasto,  
Bijące we wszystkie dzwony.

Patrzy Wit: u Wiślniej brony  
Jakiś mąż stoi z niewiastą...  
Poznał rodziców oboje,  
Padł przed nimi na kolana:  
— „Witek! Witek! Dziecko moje!”  
— „Tatusiu! Mamo kochana!”  
Ojciec rzekł: — „Codzień tak samo

Stajemy pod Wiśną bramą,  
Wyglądamy Cię z oddali —  
Aleśmy cię nie poznali...“

Tego samego wieczora  
Rzęsista była biesiada  
W starym domu Krzysztofora.  
Cnych gości przysła gromada:  
Wójt krakowski i konsule,  
I konfraternia kupiecka,  
I ta i owa sąsiada.  
Ojciec wszystkich ścisnął czule,  
Ucieszon powrotem dziecka;  
Matka wszystkim była rada,  
Wciąż o cyrografie Wita  
Gościom swoim rozpowiada,  
A każdy chłopaka pyta  
O dziwne w piekle przygody.  
Wtem Krzysztofor się ozowie:  
— „Mam w lochu stuletnie miody,  
Jakich nie pił jeszcze Kraków;  
Wypijemy Witka zdrowie,  
Ale sługom nie powierzę  
Kłucza od mych dereniaków,  
Ty nam, synu, przynieś miodu“.  
Wit od ojca klucze bierze,  
Schodzi z światłem do podziemi,  
Gdzie wśród mroku i chłodu  
Stały beczki pełne wina,  
A na półkach ponad niemi  
Omszałe z miodem gąsiory...  
— Północna bije godzina,  
Drżą w posadach Krzysztofora,  
Spojrzy zdumiony chłopeżyna,  
A tu straszna jakaś głowa,  
Niby sowa, a nie sowa,  
Przeraźliwe swoje ślepia  
Z ciemności na niego wlepia:



— „Wymknąłeś się z moey naszej!  
Ale zrób ze mną umowę:  
Dam ci skarby Madejowe,  
Oto pereł masz jak kaszy,  
Oto klejnotów jak grochu...!”  
Nim przestała bić dwunasta  
Wit czempredzej uciekł z lochu.

Odtąd w Krzysztoforach straszny  
I wśród ludu wieść urasta  
I z wieku na wiek się niesie  
O tych skarbach i o biesie,  
Który je trzyma w swej straży —  
Gmin do dziś dnia różnie gwarzy.  
Witek ciągle myślał o tem,  
Co widział, idąc przez piekło;  
Wzgardził szatanem i złotem,  
Pokus i marności świata  
Serce jego się wyrzekło.  
Poznał, podrastając w lata,  
Że człowieka skarb jedyny,  
Stały zawsze w swojej cenie:  
To dusza cnotą skrzydlata  
I niesplamione sumienie,  
A dziecku — pacierz matczyny  
I poczciwe ojca czyny.

Lat upłynęło niewiele,  
Wit wdział duchowną sukienkę;  
Zaczem w Maryackim kościele,  
Pod Chrystusów Krzyż i Mękę,  
W ołtarzu ze srebrnej blachy  
Zaprzagnął złożyć podziękę  
Za przebyte w piekle strachy,  
Za ocalenie żywota,  
Za wybawienie od czarta.  
Zawiesił tedy trzy wota,  
Te są: cyrografu karta

I króla węzów korona,  
Cała z brylantów i złota,  
Najmisterniej upleciona,  
I skrzypeczki pacholeące —  
To Wit Bogu dał w podzięce.



EPILOG.





ine lasy, srebrne wody,  
Czarne role, błonie, łąki  
Stanęły w wiosennej krasie,  
W słońcu i w zieleni młodej.  
W niebo furknęły skowronki,

Bydło na runi się pasie,  
Po błotach brodzą bociany,  
A sady bieleją w kwiecie  
Jak w obłokach śnieżnej piany...  
Wiosna, wiosna szła po świecie!

W taki poranek wiośniany  
Ciągnął orszak okazały:  
W poszóstnej złotej karecie  
Jego Mość Xiądz Biskup jedzie,  
Przed nim i za nim dwór cały.  
Konny krucyfer na przedzie  
Jechał z krzyżem przed karocą,  
Zaprzęgną w mleczne bachmaty  
Z pozaplatanemi grzywy;  
Szory na koniach się złocą,  
Léni na ludziach strój bogaty.  
W kolasie Biskup sędziwy,  
Ubrany w duchowne szaty,  
Siedział w modłach pograżony.  
Mijali miasteczka, siola,  
Po parafiach grzmiały dzwony

I lud garnął się dokoła,  
A Biskup na wszystkie strony  
Błogosławił korne czoła.

Któż — w tej biskupiej postaci  
Z siwizną srebrną na czole —  
Poznałby dawne pacholę?  
Mówią: „Czas płaci — czas traci“,  
Po długim a długim czasie  
Godność owa znamienita  
Ozdobiła księdza Wita:  
On-to dziś jechał w kolasie.

Wjechali w ogromne bory,  
W cienie i wilgotne chłody;  
U świerków chropawej kory  
Mech rozpuszczał siwe brody,  
Czasem u zwalonej kłody  
Czerwieniły muchomory.  
Tam jak śnieżnych pereł krocie  
Konwale swe główki kłonią,  
Ówdzie zielone paprocie  
Wznoszą swoje pióropusze,  
A w gęstwie ptaszęta dzwonią,  
Śpiewem przerywając głuszę.  
Jadą a jadą czas długi  
Przez te puszcze, przez te lasy...  
Wtem Biskup znak daje dłonią,  
By zatrzymały się cugi,  
I wychylony z kolasy  
Rzecz do jednego sługi:  
— „Czujesz-li waćpan? w tym borze  
Jabłka zapachniały świeże,  
Jabłka o wiosennej porze!“  
— „Tak, czuję i dziw mnie bierze“.  
— „Zobacz Waść, co to być może?“  
Dworski skoczył w las co żywo,  
Cały orszak stoi, czeka,

On zaś powraca po chwili  
I na głos woła z daleka:  
— „Dziwo, niesłychane dziwo!”  
I do kolasy przypada,  
A Biskup się doń nachyli,  
Coś długo ze sługą gada.  
Nikt nie wiedział, co mówili,  
Lecz o czemś ważnem nielada,  
Bo wnet Xiądz Biskup wysiada,  
Infułę i kapę wdziewa,  
Do ręki pastorał chwyta  
I ze sługą się zapuszcza  
W bór, między olbrzymie drzewa.  
Dokoła Biskupa Wita  
Szumiąca odwieczna puszcza,  
Pomrok zalegał ją szary,  
Bo gąszcz była nieprzebita;  
Ogromne czarne konary  
Tak były z sobą spleątane,  
Że się ledwo przez nie wciska  
Promień słońca. Biskup stary  
Przy pomocy dworzanina  
Wyszedł wreszcie na polanę  
I nagle zobaczył z bliska  
Jabłoń, która się ugina  
Pod jabłkami rumianemi,  
A kwiecie bielsze od mleka  
Równocześnie ją okrywa.  
Tuż pod jabłonią, na ziemi  
Ujrzał coś — nakształt człowieka:  
Istota, zda się, nieżywa,  
Bo nie drgnie ani się ruszy,  
Lecz słysząc było, jak wzdycha  
I łka rzewnie z głębi duszy...  
Gdy biskup doń się odzywa,  
Ów odjęknął jeno z cicha  
I wciąż kłęczy pochyłony;  
Włosów długich fala siwa

Rozwiewa się na wsze strony,  
A broda w białe kędziory  
Zwiczrzona — do ziemi splywa.  
Grzbiet okrywały zgarbiony  
Strzępy spróchniałej odzieży,  
Nakształt poczerniałej kory,  
A na tym wychudłym grzbiecie  
Trawa rośnie, mech się jeży  
I rozkwita leśne kwiecie;  
Na jednym z ramion ptaszęta  
Gniazdko małe sobie ścielą...

Biskup rozważać poczyna:  
Ta postać pokutnie zgięta  
Coś mu nagle przypomina...  
Znana mu niegdyś ta knieja,  
Był tu... wie wszystko... pamięta!  
W pochylonym, żywym trupie  
Rozpoznał... zbójcę Madeja!  
Zadrżało serce w Biskupie,  
Do pokutnika się zbliża:  
— „Odpuszczam ci wszystkie grzechy!”  
Zrobił nad nim znamię Krzyża,  
Madej odetchnął z uciechy  
I na ziemię runął czołem,  
Więc Biskup nad nim się chyli,  
Lecz Madej był już — popiołem!

I nagle, w tej samej chwili  
Jabłka furknęły z jabłoni  
I prosto w górę leciały,  
Więc Biskup oczy przysłoni,  
Patrzy: — rój gołąbków biały  
Z onych jabłek się wyłoni  
I w niebo jasne ulata  
Poprzez zgęstwione konary...  
To pomordowanych duchy,  
Co niegdyś zeszyły ze świata

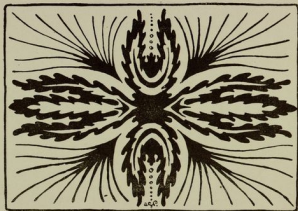






Bez spowiedzi i bez skruchy,  
Wszystkie pomknęły w bezmiary,  
Okrom jabłek jednej pary,  
Która została na drzewie.  
Co to znaczy — Biskup nie wie,  
Ale wyciągnął prawicę,  
Przeżegnał te dwa jabłuszka  
I dwie białe gołębicę  
Frunęły — a Boży służka  
Zrozumiał, że to rodzice  
Madeja pałką zgtadzeni.  
Gdy dusze ojca i matki  
Zniknęły w niebios przestrzeni,  
Wszystko kwiecie na jabłoni  
Pomknęło za nimi w locie:  
Białe i różowe płatki  
Mienia się w motylów krocie,  
Rój skrzydlaty w górę goni  
I nad leśnym sklepem znika...  
Biskup duma długą chwilę  
I na piersi głowę kloni,  
Aż pojął, że te motyle,  
To modlitwy pokutnika!...





## SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
Wstęp . . . . .	7
Rozdział I. W Krzysztoforach . . . . .	9
— II. Przygoda w podróży . . . . .	15
— III. Mały Witek . . . . .	21
— IV. Krucyfiks Maryacki . . . . .	27
— V. Chata w lesie . . . . .	33
— VI. Madej . . . . .	39
— VII. Brama piekielna . . . . .	45
— VIII. Potępieńcy . . . . .	53
— IX. Trzewiczek Pana Jezusa . . . . .	59
— X. Dukaty i srebrniki . . . . .	65
— XI. Węże . . . . .	71
— XII. Lilie . . . . .	77
— XIII. Korona na wiciły i Myszy królewskie . . . . .	83
— XIV. Madejowe Joze . . . . .	89
— XV. Lucyper . . . . .	95
— XVI. Skrzypczki . . . . .	101
— XVII. Pokuta Madeja . . . . .	107
— XVIII. Skarby . . . . .	113
Epilog . . . . .	119





BIBLIOTEKA  
BN  
MAGDOWA







Rana Avis  
Kraljevici 12.10.95  
-30.00,-



1476213

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001008556873